XXII. Kraków, 1 maja 1919 r. Nr. 9.

# „BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

**Kwartalnie:** z przesyłką pocztową 7 kor. 50 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
**KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83** (dom własny). **Telefon Nr. 479**
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.**

**Redaktor: Konstanty Krumłowski.**



**Ze wspomnień karnawału.**

**Pani:** Jedna noc karnawałowa zadecydowała o mojej przyszłości!... Bal W ambasadzie... konzul... ach!... jak on przemawiał do mnie!...

**Pokojówka:** I ja doświadczyłam podobnych rzeczy!... Bal służby... lokaj!... ach!... jak on się przystawiał do mnie!...

## Pod Parnasem.

**Jest w Krakowie tylu wieszczów,**
**Aż wydaje mi się czasem,**
**Że to miasto nie nad Wisłą,**
**Ale jest gdzieś pod Parnasem.**

**Staszek Stwora rżnie liryki,**
**Hernicz na miłosnej lirze,**
**Tuwin robi w futuryźnie,**
**Hernicz muzę w łokieć liże.**

**Filochowska i Migowa**
**I waryatek innych zgraja**
**Wielki Stasiak z małej Bochni**
**I Pietrzycki z Kłaja!**

## Trafna dyagnoza.

Do jednego z lekarzy — dawniejsze to już czasy — zgłosił się jakiś jegomość należycie chudy i narzeka na swe przypadłości żołądkowe, głównie zaś na stałą obstrukcyę... (ale nie parlamentarną!...)

Lekarz zbadał pacyenta bardzo szczegółowo i sumiennie, wreszcie pyta:

— A czem się pan łaskawy trudni?

— Ja jestem, proszę pana konsyliarza dobrodzieja — brzmi odpowiedź — nauczycielem ludowym...

— To trzeba było odrazu powiedzieć! — lekarz na to — Chcąc, aby było coś, trzeba aby było czem... Masz tu pan guldena, zjedz sobie dziś wieczór porządną kolacyę, a ręczę, że jutro będzie pożądany skutek!... Z próżnego nawet i Salomon nie naleje!...

### Różnica.

— Jaka jest różnica między nauczycielem a nauczycielką?

— Nauczyciel każe powtórzyć, jeśli źle idzie, nauczycielka, gdy dobrze...

## Pani hrabina zabrała...

Do właściciela majątku we wschodniej Galicyi zgłasza się ruski proboszcz, aby od swego kolatora uzyskać jakąś pomoc w tych ciężkich czasach.

Wywiązuje się rozmowa, w trakcie której pyta dziedzic:

— A liczną jegomość ma rodzinę?

— Ośmioro dzieci!... Najstarsze z nich szesnaście lat... — proboszcz na to.

— To, przyznam się szczerze, po prostu zbrodnia wobec społeczeństwa. Ot, ja, choć posiadam taki majątek, nie pozwoliłem sobie na więcej, tylko na dwoje!

— Panie dobrodzieju! Cóż ja winien jestem! Jestem człowiekiem, a natura upomina się o swoje prawa...

— Bardzo ładnie!... Ale od czegóż rozum, aby powiedział: dosyć...

— Próbowałem, jaśnie panie, tak sobie powiedzieć, ale to na nic się nie zdało...

— Ostatecznie, skoro jegomość nie może się przezwyciężyć, to są przecież różne środki zaradcze, aby się uchronić od zbyt licznego potomstwa...

— Nie znam takich!... Ja sobie jestem zwykły wsiowy człowiek, który o tem nawet nie słyszał...

— Naprzykład gumowe...

— A cóż to jest takiego?

— Hm!... Jakże ja to księdzu wytłumaczę? Najlepiej będzie pokazać... Janie!

W drzwiach ukazał się służący.

— Mój Janie! — dziedzic do niego — Proszę pójść do sypialnego pokoju pani hrabiny i przynieść z szuflady nocnej szafki pudełeczko, na którem jest czerwony krzyż.

Jan się skłonił i odszedł, a za chwilę powrócił, ale z próżnemi rękami.

— Jakto? Niema tam? — pyta hrabia — A gdzież się podziały?

— Pokojówka Kasia powiada — Jan na to — że jaśnie pani hrabina wyjeżdżając przed dwoma tygodniami po Krynicy, kazała sobie zapakować do kufra to pudełeczko...

## O Teatr lwowski.

**Teatr lwowski poszukuje**
**Na rok przyszły dyrektora**
**Indywidua przeróżne**
**Zgłaszają się póki pora.**

***Cepnik*** **lokaj hellerowski,**
**Który zwalczał głos krytyki,**
**W chwilach zaś od zajęć wolnych**
**Teatralne mył nocniki.**

**Drugim takim kandydatem**
**Jest najgłupsza w Polsce gęba,**
**(Gdy to gębą nazwać można),**
**A nazywa się** ***Godziemba.***

**Jest i trzeci, z nich najlepszy,**
***Baranowski*** **zwany Dantem,**
**Co mordował polską sztukę,**
**Aż go Tarnów puścił kantem.**

**Wszystkich by ich rzucić w morze**
**Uwiązawszy kamień młyński.**
**Nie! Czekajmy aż się zgłosi**
**Do kompanii i Konczyński!...**

## Wytłumaczył.

W zakrystyi kościoła parafialnego zapisuje ksiądz proboszcz do ksiąg metrykalnych noworodka, którego właśnie przyjął na łono Kościoła.

— A kiedy był ślub? — pyta ojca, ot tak sobie z prostej jeno ciekawości.

— Będzie temu trzy miesiące! — brzmi odpowiedź.

— Hm!... To coś te chrzciny zanadto wcześnie! — robi jegomość uwagę.

— Nie! — ojciec na to — To ślub był trochę spóźniony... Ale następne to już będą w swoim czasie!...

---

# „CARMEN".

(Obrazek z życia).

Przy jednej z pierwszorzędnych ulic Krakowa, w dużym, nowym domu mieszkanie na pierwszem piętrze od frontu zajmował pan doktór Niedomagalski wraz z żoną i siedemnastoletnim synem Jurkiem, studentem szóstej gimnazyalnej.

W tymsamym domu o piętro wyżej mieszkała wdowa po c. k. radcy sądu, pani Bronisława Niezaradnicka, z piętnastoletnią jedynaczką, Zosią. Państwo Niedomagalscy i pani Niezaradnicka utrzymywali stosunki towarzyskie, zaś obie panie zawiązały ze sobą nici szczerszej przyjaźni. Dzieci, to jest Jurek i Zosia, również sympatyzowały wzajemnie, co nie uszło uwagi matek, projektujących po cichu, że może... kiedyś, kiedyś... gdy Jurek skończy gimnazyum i uniwersytet... z tej przyjaźni zrodzi się miłość, uwieńczona małżeństwem; na razie jednak obie mamy zachowały wszelkie środki ostrożności, by teraz nie dopuścić do wybuchu jakichkolwiek brzydkich skłonności w duszach i nie-duszach młodych latorośli. Zdaje się jednak, obawy te były nieuzasadnione, bowiem Jurek i Zosia nie okazywali żadnych podejrzanych objawów mogącej się zrodzić namiętności, bawili się, jak rodzeństwo, nie zwracając uwagi, że on jest chłopczykiem, a ona — dziewczynką.

Ulubioną towarzyszką wspólnych ich zabaw była „Carmen", rasowa wyżlica, o nadzwyczaj rozwiniętej inteligencyi, doskonale ułożona do polowania przez ś. p. c. k. radcę sądu Niezaradnickiego.

Od pewnego czasu przyjaźń pani Bronisławy i Karoliny uległa znacznemu ochłodzeniu, co należało przypisać okoliczności, że pani doktorowa spotkała swą koleżankę z lat dziecinnych, która po skończeniu pensyi zrobiła bajeczną partyę, wychodząc za mąż za bogatego bankiera z Wiednia, a która przyjechała teraz do Krakowa z córką, mniejwięcej odpowiadającą wiekiem Zosi, lecz posiadającą gotowego posagu pół miliona reńskich.

Pani Karolinie, snującej zawsze plany na przyszłość dla swego jedynaka, podobała się myśl, że może... kiedyś, kiedyś... gdy Jurek skończy gimnazyum i uniwersytet... mógłby się ożenić z bankierówną i wziąć milonowy posag. Ale oto zdarzył się fakt, który jeżeli nie zburzył pięknego gmachu marzeń pani Karoliny, to w każdym razie wstrząsnął nim potężnie, narażając jego twórczynię na chwilę ciężkich wzruszeń i wielkiego zdenerwowania.

Pewnego ranka, gdy Jurek poszedł do szkoły, pani Karolina zajrzała do jego pokoju, ponieważ miała zwyczaj sprawdzać od czasu do czasu, czy syn jej zachowuje porządek u siebie. Pozornie wszystko było dobrze, nagle... pani doktorowa dojrzała na podłodze, tuż przy łóżku coś nieprawdopodobnego, coś, co się nie mogło pomieścić jej w głowie... Dojrzała... podwiązkę damską z jedwabną kokardką. Głuchy jęk wyrwał się poważnej matronie z piersi, drżącemi rękami podniosła podwiązkę...

Tak, tak, to nie było złudzenie, tylko twarda rzeczywistość... damska podwiązka z jedwabną kokardką.

— Co to ma znaczyć? — łamała sobie głowę pani Karolina i spojrzała uważniej na łóżko. Okazało się, że było ono mocno zmiętoszone, czego nigdy przedtem nie bywało.

Ponieważ pani Karolina była kobietą przenikliwą, patrzącą najdalej, oceniła należycie te dwa zjawiska, to jest obecność podwiązki i zmiętoszenie łóżka i doszła do wniosku, że te rzeczy mają ze sobą dużo wspólnego, będącego dowodem strasznego faktu, o którym myśleć było jej trudno.

— I Jurek! Jej ukochany Jurek!... Do tego stopnia!... W tak wczesnym wieku... nie, nie... — odpędzała natrętne myśli, które pchały się jej do głowy.

Przygnębiona, przybita siedziała pan Karolina w saloniku, gdy w przedpokoju odezwały się kroki.

— Czy można? — usłyszała głos pani Bronisławy.

— Proszę!

Pani radczyni w rannym szlafroczku ukazała się we drzwiach.

— Dzień dobry, pani!

— Dzień dobry, pani!

— Pani taka zmieniona! Cóż się takiego stało?

— Nic... nic... — odpowiedziała przez łzy pani Karolina.

— Ładne nic, przecież widzę, że panią coś spotkało!

— Bo... bo... bo... — i pani Karolina wybuchła gwałtownym, spazmatycznym płaczem, co przechodzi prędko, jak letnia ulewa, przynosząc spokój i ukojenie.

— Czemu pani płacze? Niech pani powie, może co pomogę! — pocieszała całkiem niewłaściwie pani Bronisława.

Po chwili ulewa minęła i pani Karolina, otarłszy chustką oczy, zaczęła:

— Wie pani, co się stało? Mój... mój Jurek... już nie jest tym dawnym niewinnym, cnotliwym Jurkiem... Oto co znalazłam u niego! — i pokazała podwiązkę — Mało tego, łóżko zmiętoszone, no poprostu, poprostu... pani wie?...

— Domyślam się, domyślam! I jakimże to sposobem?

— Ba, dopiero dzisiaj rano dowiedziałam się o wszystkiem i z Jurkiem o tem nie mówiłam...

Pani Karolina powtórnie zaniosła się płaczem, teraz jednym już z tych lżejszych, zaś pani Bronisława pilnie przyglądała się podwiązce.

— Ah! — krzyknęła nagle.

— Co takiego?

— Wie pani... wie — mówiła urywanym głosem — czyja... czyja to podwiązka?

— No!

— To ta... ta podwiązka... mojej... Zosi!...

— Pani Zosi? To przechodzi ludzkie pojęcie!

— Tak, tak, napewne, nie mylę się! A zresztą mam jeszcze drugi dowód, bo dziś przed pójściem na pensyę, prosiła mnie Zosia o pieniądze na nowe podwiązki!

— No, widzi pani!

— Tak, widzę!

— Co teraz będzie?

## Praktyczny.

— I jak też w tych ciężkich czasach wychodzi pan na swoje przy tak licznej rodzinie, mając tak małą pensyjkę...

— Ot!... Trzeba sobie umieć radzić!... Pomaga sobie człowiek, jak może... Byle tylko związać koniec z końcem. Codziennie wieczór zapytuję członków rodziny, kto chce zamiast kolacyi koronę gotówką i wszyscy się na to naturalnie zgadzają... Przez cały wieczór opowiadają sobie tylko o tem, co za nią jutro kupią i jeść im się nie chce.. Nazajutrz rano musi natomiast każde, jeżeli chce dostać śniadanie, zapłacić koronę!... Płacą, bo przecież nikt o próżnym żołądku nie pójdźie do szkoły... W ten sposób korony wracają znów do mojej kieszeni, ale w każdym razie oszczędziło się kolacyę. Skoro inaczej nie można, musi się biedny człowiek chwytać różnych sztuczek...

— Muszę i ja coś podobnego u siebie w domu zaprowadzić... Może się i uda!

## Pan radca cesarski w kłopocie.

— To jednak ciekawe, że pan radca tak chętnie używa języka niemieckiego, choć Austryaków od nas już dawno dyabli wzięli.

— Ja panu coś powim!... Ja to robię nie dla jakiejś przyjemności, ale tylko z potrzeby.

— Tego nie rozumiem!

— Zaraz panu wytłumaczę!... Idę kiedyś na kolacyę do „Saskiego" i wołam w najlepszej myśli: „Kelner!... Zjadłbym kogo!"... Powiedz pan sam, czy to nie jest bezczelność ze strony takiego gałgana... On si śmieje i mówi: „Byle nie mie, panie radco dobrodziejo!..." Skąd ja miałem wiedzić, że to jest źle po polskiem?... Ale, myślę sobie, jak będę miał płacić, to się poprawię... Skończyłem właśnie jeść, ocieram usta i odzywam si do siebie półgłosem, ale tak, aby on słyszał: „Nu!... Podjadłem siebie!..." I, co pan powie do tego?... On si znowu potrzebował śmiać!... I dlatego właśnie ja tak chętnie używam języka niemieckiego... Nie z jakiegoś szowinizmu... broń Boże!...

## Halina.

(Autor się wzorował na wierszu Lenartowicza „Kalina").

Rosła Halina z nosem szerokim,
Gdzieś na Podzamczu, może przed rokiem,
Wódeczką smutki swe zakrapiała,
A w dzień powszedni bieliznę prała.

Nie znały zgrzebła jej krótkie włosy,
A ręce myła często u fosy..
Tak się stroiła jak dziewczę młode,
Chociaż straciła dawno urodę.

Do tej dziewicy, do tej Haliny,
Zachodził Antek z pałką z wierzbiny
I śpiewał sobie czasem żałośnie,
Jak jest samotnym w czterdziestej wiośnie

I śpiewał sobie dana oj dana,
Idąc po błocie w bród po kolana.
A gdy pod jesień w celę zamkniętą,
Pod tęgim kluczem Antka złożono,

Biedna Halina snać go kochała,
Bo resztki włosów swoich rozwiała
I przypomniawszy sobie wiek młody,
Do śmierci z żalu nie tknęła wody...

### Także nagroda.

*Matka* (do syna): Ucz się dobrze, abyś przeszedł do następnej klasy. Zrobisz ten sposób przyjemność i tatusiowi i mamie i samemu sobie... Tatuś obiecał, że, jak dostaniesz pierwszą, to się z mamę ożeni!...

### Podsłuchane.

— Wiesz, że ja mam kolosalne szczęście do kobiet!... Którą tylko spotkam, każda mi się podoba!...

### Kukułka.

— Czy Stefan się już ożenił?

— Jeszcze nie i, jak mi się zdaje, tak prędko do tego nie przyjdzie z jego kukułczem usposobieniem...

— Kukułczem?

— Tak!... Wiesz przecież chyba, że kukułka jest to sobie taki sympatyczny ptaszek, który składa swe jajka w coraz to inne gniazdka!

## Pharmacie.

Nad apteką w wielkim mieście widniał złoty napis „*Pharmacie*".

Dwaj żydkowie z prowincyi, znalazłszy się na ulicy, poczęli nad tem delibrować, co też ten napis znaczy i co w tym sklepie sprzedają.

Odważniejszy wszedł do wnętrza i tu się dowiedział z ust jakiegoś jegomościa, że *Pharmacie*, to jest środek na odmłodnienie, który tutaj można nabyć.

— A co taki „*pharmacie*" potrzebuje kosztować?... — pytał dalej ciekawy prowincyonalista.

— Dwie korony! — brzmiała odpowiedź.

Skłoniwszy się pięknie, wyszedł żydek z apteki i zdał dokładny raport swemu towarzyszowi, poczem obaj uchwalili ten cudowny środek nabyć. Co to będzie za frajda w miasteczku, gdy przyjadą obaj młodsi o jakie lat kilkanaście, bo będzie tyle chyba za dwie korony...

Aptekarz przygotował im tymczasem bardzo silny środek przeczyszczający, którym się obaj sumiennie podzielili.

Gdy się nazajutrz spotkali, rzekł Srul z oburzeniem:

— A to nas oszukał ten *pharmacie!* Ani ja, ani ty nie jesteśmy młodsi!

A Jojne na to:

— Ja tego nie powiem!... Ja się czuję młodszy... Wczoraj, po zażyciu, to ja już nie mogłem dobiedz do zajazdu. Taki wypadek to ja miałem ostatni raz wtedy, gdym liczył siedm lat życia. Chyba więc mogę mówić o odmłodzeniu!...

---

— Co teraz będzie?

— Mówmy poważnie — zaczęła spokojniej pani Bronisława — trzeba tą rzecz wyświetlić! Niech pani zbada Jurka, a ja zbadam Zosię! Powinni się do tego przyznać, a potem — to zobaczymy...

— Co zobaczymy? Przecież z tego może coś wyjść!

— Nie wiem, nie wiem. Teraz wiem tylko tyle, że trzeba ich przesłuchać koniecznie, koniecznie!

Pani Bronisława wróciła do siebie na górę. Obie panie poczęły skrupulatnie układać plan indagacyi i tworzyć najbardziej skomplikowane formy krzyżowych pytań, w celu wydobycia prawdy z Jurka i Zosi.

Popołudniu około drugiej pani Karolina usłyszała znany chód syna na schodach, zrobiło się jej jakoś gorąco, serce biło mocniej.

— Będzie rozmawiać z młodzieńcem, który już... już... już jest mężczyzną!

Wszedł Jurek. Położył książki na stoliku i poszedł do matki przywitać się, jak zwykle.

— Jak się masz, synku? — zapytała wzruszona pani Karolina.

— Dziękuję mamie, ale nie najlepiej! Głowa mie trochę boli!

— Głowa cię boli? A może cię nudzi? — dodała.

— Nie, nudzić mnie nie nudzi.

— No, powiedz, Jurku! Napewno cię nudzi, tylko nie chcesz się przyznać.

— Ależ nie, mamusiu! Wcale mnie nie nudzi! Głowa trochę boli, ale to prędko przejdzie!

— Niebardzo! Mogłeś się zaziębić! Pewnoś dzisiaj źle spał w nocy?

— Nie, zupełnie dobrze!

— Zupełnie dobrze? Ej, przypomnij sobie, możeś nie mógł usnąć?

— Usnąłem i spałem wyśmienicie!

— Całą noc?

— Całą noc!

— Bez przerwy?

— Bez przerwy!

— A może ci co przeszkodziło w nocy?

— Nie, nic mi nie przeszkodziło!

— No, przypomnij sobie!

— Aha, tak, wieczorem... trochę... ale później to spałem dobrze!

— Co wieczorem? Co ci przeszkodziło? — podchwyciła pani Karolina.

— A ta, ta...

— Która, która? Mów synku!

— Tylko się boję, żeby mamusia się nie gniewała, bo...

— Dlaczegóż miałabym się gniewać? Daję ci słowo, że nie będę się gniewała.

— ...bo... bo mi łóżko pogniotła! Ale ja jej nie chciałem wpuścić! Sama weszła...

— No i co, co?... — gorączkowała się pani Karolina.

— Ano, położyła się koło mnie i dlatego tak pogniotła łóżko!

— Mój Jureczku! I cóżeś ty z nią robił?

— Ja? Ja z nią nic nie robiłem. Ona...

— Ale, jeżeli ona z tobą, toś i ty musiał...

— Wcale nie! Podrapała mnie pazurami, bo kładła swoje łapy bez pardonu pod moją kołdrę!

— Pod kołdrę kładła ręce i drapała cię paznokciami?

— Skądże, mamusiu, ręce i paznokcie? Przecież psy nie mają rąk, tylko łapy i nie paznokcie, tylko pazury!

— A któż to był!

— No, „Carmen", pani radczyni! Przybyła do mnie wieczór, gdym leżał w łóżku i przyniosła jakąś gumkę. Pewno chciała zrobić niespodziankę Zosi i przyaportowała jej podwiązkę do mego pokoju!

— Więc to „Carmen" przyniosła tą podwiązkę?

— Tak! „Carmen"... Ale dlaczegóż mama dziwi się temu? Któżby mógł inny?

— Nie, nie, ja się nie dziwię, tylko przypuszczałam, że to Nero z parteru od pani gospodyni przyaportował ci ją.

— Ależ, mamo! Nero nie umie aportować!

— Ach! Tak, tak! Zapomniałam o tem zupełnie, ale mniejsza o to! Idź mój synku, teraz do stołowego pokoju, bo obiad czeka na ciebie — i pani Karolina ucałowała z rozrzewnieniem syna.

Po obiedzie Jurek poszedł na spacer, a wkrótce po jego wyjściu w mieszkaniu państwa Niedomagalskich zjawiła się pani Bronisława.

— No i co? — pytała się nerwowo pani Karoliny.

— Więc, dowiedziałam się, że...

— Albo nie, ja pani pierwsza opowiem — przerwała pani radczyni — Otóż Zosia do niczego się nie przyznaje. Pytałam się ją, czy dobrze spała w nocy. Mówi, że dobrze. Później pytałam się, czy jej kto w nocy nie przeszkodził; też — nie! Czy kto nie obudził — nie i nie! Coś okropnego! I to moja córka! Ale to nic! Jeżeli Jurek się przyznał — wystarczy, i po tem, co się stało — wspólnie postanowimy, że Jurek po ukończeniu gimnazyum ożeni się z Zosią.

— Nie zgadzam się na to! — zaoponowała pani Karolina, pamiętając o bogatej córce bankiera.

— Pani nie wolno nie zgodzić się. Jeżeli pani syn...

— Ależ...

— Tu niema żadnych „ależ"! Rano sama mówiła pani o tym wstrętnym wypadku, a teraz, gdy Jurek powinien ponieść konsekwencye swego czynu — to nic nie było!... Niema co... niema co! Ale tak nie będzie! Moja córka dzisiaj przez Jurka ma zamkniętą drogę do karyery małżeńskiej! Muszą się pobrać, muszą!...

— Niech się pani nie gorączkuje — mówiła pani Karolina — Jurek wszystko mi powiedział — To „Carmen" przyniosła mu podwiązkę Zosi!

— Nie może być! „Carmen"? To mój mąż nieboszczyk nauczył ją tak aportować i teraz wychodzą Bóg wie, jakie rzeczy!...

— Tak, tak! „Carmen"!

— Podła! A, wstrętne psisko! Cieszyłam się już, że z mojej Zosi i Jurka będzie dobrana para. O! Muszę sprzedać tego psa! Nie zniosłabym jej widoku dłużej!



*Ona* (entuzyastycznie): Czuję, że z nadchodzącą wiosną nowe życie budzi się we mnie.

*On* (pesymistycznie): A widzisz? To są skutki! A mówiłem ci zawsze: uważaj! uważaj!



**Z dawnych, dobrych czasów.**

— A więc we środę o 11 w nocy! Okno zostaw otwarte, firankę do pół spuszczoną...

— Dobrze, najdroższy, tylko nie pomyl się i nie wleź obok do mojej pani!

— Wykluczone! Jej przyjęcia są we środę i przy firankach spuszczonych!



**Wiosenny połów „brzan“.**



— Jakiś pan przyszedł i pyta się czy go pani przyjmie?

— Rozumie się! Proś go, żeby się rozebrał.



*On:* Licytacya, ruina, rozpacz!

*Ona:* Pomówię z twoim wierzycielem! Mam młodość, wdzięk!

*On:* Nie dasz rady! Jest ich 25, a licytacya jutro!



— Proszę panienkę o męskie koszule! Jedną zaraz przymierzę!...



*On:* Klawiczewski to prawdziwy artysta! Zachwycił mnie wczoraj.

*Ona:* Tacy oni wszyscy! Zachwycił — no a na ile?



**Myśl kokoty.**

— O! Gdyby do tego cylindra był dołączony starszy, dobrze sytuowany pan!

## Ferdek Eleuteryk.



Byłem pewny, że bodaj te pirsze świnta Wielganocne w wolnyj Polsce bedą jakieś inaksze, niż w cysarsko-królewskij Austryi, którą już dzięki Bogu dyabli wzieni, że se człek frygnie coś uczciwygo i łyknie porządnyj trunkowości, jednym słowem, że się tryfi okoliczność do klawyj wyżyrki z chlapką, na którą sie jest rok cały czekającym, a teraz to nawet pińć roków! Ale gdzietam!... Znowu były nici i to w jeszcze gorszym gatonku niż po inne lata!

Nawet pogoda nie dopisała, bo w pirszy dziń świąt padoł popołedniu dyszcz, a w obliwany ponie działek dlo odmiany dyszcz ze śnigiem. Zamiast chycić Mańke pod ziobro i poknająć z nią na Zwirzyniec na Hamens, pusiało sie turgać pod pachą parasol, abo siedzieć w chałupie, a cheba kuždy musi być przyznajoncy, że tak jedno, jak i drugie nie jest do przyjimności należącem.

Gdyby to mogło sie było bodaj co wrazić w jadaczke! Co najwyżyj palec, a wiadomo, że w przyzwoitym towarzestwie tam sie go nie powinno być wtykajoncym.

Chcąc se tego roku pozwolić na urzondzynie świnconygo, musiałoby sie być paskarzem. A takich jest coroz mnij, choć nimożno powiedzieć, że ich całkiem nima, skoro nawet jenerol od mijskich egzekutorów był w pasku robioncy. I jo jestem paskorz, ale ino tetularny, bo nosze pasek, aby portugalie nie były upadłości zgłaszajonce, ale w pasku nigdy nie jestem robioncy, zawdy go wtedy zdyjmuje i wiszom na kołku.

Paskarzy, ale tych prawdziwych, jest bez to dość, ale teroz knajają inkognito, a to od tygo czasu, gdy *Goniec* na pirszygo kwietnia był émoje puszczajoncy, jako w tym dniu bedom jednymu takimu obewatelowi w samo połednie z urzędu pod wieżą ratuszową w oficyny za glondajoncy. Przyknajało na Rynek wiencyj luda niż na procesyją abo lajkonika, bo kuždy chcioł być na swe własne kapowidła oglondajoncy, jak sie to odbywo tako urzyndowo operacyja. Najwincyj było obewateli z Kaźmirza i Stradomia.

I rynkowe kupcy wzieni se to do serca i na znak żałoby, jako iż to było połednie, zamkneli swe interesy, powtarzając ze smutkiem: „Co dziś tobie, mnie jutro!...“ Som widziołem jednygo, jak z żałości trąbił czorne piwo, a drugi golnoł se „regulatora“, polecanygo przez powagi likarskie na wszelakigo rodzaju rozczulinie.

Byli ci ciekawi długo czekajoncy ale sie nie doczekali i odeszli z łżyjszym sercem, choć niejednymu było żal, że ta przyjimność jego konkurenta nie spotkała.

Jo tam nie chciołbym sie znaliźć w takim położyniu i z tygo powodu do paska bardzo sie nie kwapie, a także i z tyj przyczyny, że sie tam mo do czynienio z brudną konkurencyą.

Zamiast tygo mam wielgą ochotę zabrać sie do polityki, choć nie jestem biedroniem, a teroz ino oni mają głos. Buržuje i preletaryjusze pośli z przeproszyniem w kąt, a prawdziwo Polska od morza do morza bedzie dopiro wtedy, gdy Witos zasindzie na stolcu pryzydenta, a ksiondz Okoń zostanie bodaj sufraganem gnieźnieńskim.

Ale chconcy sie bawić w poletyke, trza sie albo wygolić tak jak Wilson, abo zapuścić taką chyrę, jaką mo pon Padereski. Bo teroz tako moda.

I lotygo jezdem w kłopocie, bo nie wiem, tak robić, czy owak. W kuždym razie wygodnij i łatwij jest sie „wywilsonować“, bo to golibroda machnie ino brzytwą i *finita la kumedyja* a chcąc sie dochować takigo poszycia makówy, jakie mo nosz premier, trza bardzo długo czekać, a nawet możno sie i nie doczekać, choćby sie było niezawodnygo smarowidła od Ihnatowicza używajoncym, jeśli sie jest łysym. Prędzyj na starym futrze wyrosną nowe włosy, niż na łysinie!

Z drugij jednak strony, będąc sławnym, a mając takie bujne owłosienie, jak Padereski, nie jest sie nigdy w kłopocie, gdy brzana prosi o „pukiel włosów“ na pamiątke.

I nad tem włośnie, co robić, iść w ślady Wilsona, czy Padereskiego, jezdem se makówe łamioncy i bede ją łomoł pewnie aż do maja, który jest już za progiem.

Niech żyje piekny maj, ale niech już bedzie roz ciepło!

### W restauracyi na Kazimierzu.

Do podrzędnej restauracyi na Kazimierzu przychodzi żydek z prowincyi i każe sobie podać obiad. Zjadł rosół i kawałek mięsa, gdy przyszło do płacenia, płaci tylko za mięso, za rosół nie chce dać ani halerza.

Gospodarz mu tłumaczy, że i za rosół się mu należy, ale on nie daje się przekonać, ale pyta:

— Czy ja płacę za gotowane mięso, czy za surowe?

— Za gotowane — odpowiada gospodarz.

— A w czem się ono gotowało?

— We wodzie!

— A co jest z tej wody?

— Rosół.

— A widzi pan!... Ten rosół, co ja zjadłem to jest akurat z tego kawałka mięsa, za który zapłaciłem, więc on mi się słusznie należał!...

## Karyera.

**Tato siedzi w kryminale,**
**Mama sterczy pod wychodkiem,**
**Brat jedyny jest alfonsem**
**Z wielką blizną przez pysk środkiem.**

**Lecz się córka odrodziła**
**Od rodziny swej kompletnie,**
**Młode to, lecz ma swój rozum,**
**Młode, bo osiemnastoletnie**

**Lili wzrosła jak ta żaba**
**Nad błotnistą życia fosą,**
**Dawniej boso uganiała,**
**Dzisiaj w tinglu tańczy boso.**

**Dawniej, kiedy młodszą była**
**Należały do kochanka**
**Jej uściski i pieszczoty,**
**Nagie łydki i kolanka.**

**Dziś to wszystkim pokazuje**
**Z bezczelnością i odwagą,**
**Jedna rzecz ją martwi tylko,**
**Że nie może tańczyć nago!**

**Spotka mamę na ulicy**
**Zaraz głowę swą odwraca.**
**Ach! To mama z pod Sukiennic!**
**Kluczyk, papier — ładna praca!**

**I braciszka też znać nie chce.**
**A z braciszkiem teraz bieda,**
**Siostra bratu alfonsowi**
**Nic zarabiać z siebie nie da.**

**Więc braciszek się odgraża**
**I wywodzi matka żale**
**Z opieki Lili niema,**
**(No, bo ojciec w kryminale!)**

**Dziewczę widząc, że z rodziną**
**Dzieli ją dziś przedział stanów,**
**Szuka sobie z konieczności**
**Dla opieki — starszych panów.**

**Raz jest nim żydek-bankier,**
**Raz z wyschniętym szpikiem hrabia,**
**Lili żyje marnotrawnie**
**I nic nie ma, choć zarabia.**

**Użyć życia za pieniądze**
**Czy hrabiego, czy bankiera,**
**Wszak i Lili czeka kiedyś**
**Co i matkę jej — karyera.**

## Straszna chwila.

(Temat do tragedyi).

— Więc pan się boi ciemnego pokoju?... To dziwne!... Że małe dzieci, mające głowy nabite opowiadaniami nianiek o strachach, unikają ciemności, to rozumiem, ale, aby to czynił człowiek dojrzały...

— Panie!... Zrozumie pan, jeśli się pan dowie, co mnie w ciemnym pokoju spotkało... Bawiłem na wsi u mych krewnych na wakacyach i opływałem we wszystko, czego tylko dusza zapragnęła!... Co tam były za dziewczęta!... Szczególniej jedna z nich, pokojówka Kasia, to, powiadam panu, istna Wenus, wyłaniająca się z morskiej piany... Robiłem też do niej „perskie oko“ i uważałem, że jej się to podoba, iż zawróciła głowę paniczowi z miasta. Raz wieczorem siedzę sam w salonie, wchodzi Kasia i kieruje swe kroki do sąsiedniego pokoju. Pomyślałem sobie, że się taka sposobność może nie tak prędko zdarzy i naturalnie zaraz sunę za nią. W ciemnym pokoju o mały figiel nie rozbiłem sobie łba o jakiś stołek, ale kto tam uważa w tak ważnej chwili na takie głupstwa. Co gorsze, spadł mi cwiker z nosa, ale nie było czasu na szukanie, by sarenka nie uszła. Pod oknem coś się migło, ja tam prosto, jak w dym. Nie pomyliłem się, to ona... Objąłem ją w pół, przycisnąłem do siebie, ucałowałem... Nie broniła się. Za pieszczoty płaciła hojnie pieszczotami. Byłem, powiadam panu, w siódmem niebie! Nie mówiliśmy do siebie ani słowa, ale rozumieliśmy się doskonale... Bojąc się, by nas kto nie spłoszył, wycisnąłem na jej różowych wargach jeszcze jeden gorący pocałunek i chcę odejść. Ale w tej chwili przypominam sobie, że zgubiłem cwiker, zapalam więc zapałkę, by go poszukać. I któż opisze moje przerażenie, gdy obok siebie, zamiast Kasi, ujrzałem starą, bezzębną, rudą guwernantkę Francuzicę!... Oddychała ciężko, spoglądając na mnie rozmiłowanym wzrokiem. Cwikera nie szukając, wypadłem z ciemnego pokoju, jakby mnie gnało całe stado furyi i nie oparłem się, aż w swym pokoju. Od tej chwili, choćbyś mnie zabił, do ciemnego pokoju, nauczony przykrem doświadczeniem nie wejdę! Choć miałem tam zostać cały miesiąc, wyjechałem do Krakowa zaraz na drugi dzień, tłumacząc się różnymi interesami... Mój przyjaciel za swej ostatniej bytności opowiadał mi, że ten stary koczkodon od jakiegoś czasu zmienił się do niepoznania. Dawniej zła i zgryźliwa, dziś stała się potulną jak baranek, wodzi wokół rozmarzonym wzrokiem i wzdycha, a największą jej przyjemnością przesiadywanie w ciemnym pokoju obok salonu. Powiada, że się tu czuje, jak w niebie. Zachodzili w głowę, co mogło być powodem tej odmiany, ale, naturalnie, na właściwy powód nie wpadli. Chyba przyzna pan, że mam racyę, unikając odtąd ciemnego pokoju!...

### Czuła mama.

Pani mecenasowa wracała właśnie z posiedzenie Komitetu opieki nad opuszczonemi dziećmi murzyńskiemi. Miała jeszcze dość czasu, gdyż obrady nie trwały długo, weszła więc w plantacye i skierowała się w to miejsce, gdzie zwykle o tym czasie bawiła się jej jedyna córeczka, zostająca pod opieką bony Franciszki. Cieszyła się już z góry, jaką też przyjemność sprawi swej małej swem niespodziewanem zjawieniem.

Ale nigdzie jej jakoś dojrzeć nie mogła, choć wokoło bawiły się setki dzieci różnego wieku.

Zmęczona chodzeniem usiadła na ławce. Obok zajęta była przesypywaniem piasku jakaś mała dziewczynka.

Gdy skończyła swą zabawę i podeszła ku ławce, pani mecenasowa, dziś jakoś bardzo czule usposobiona, prawdopodobnie pod wrażeniem jeszcze natchnionej mowy ojca moderatora, który w nader wymownych słowach skreślił niedolę czarnych biedaków, o których się nikt nie troszczy, nie mogąc swego uczucia wylać na swą córkę, przytuliła do siebie małą nieznajomą i gładząc jej jasne kędziory, rzekła:

— Jakaś ty ładna!... I ja mam w domu taką córeczkę... Na imię jej Andzia...

A mała na to:

— To mamusia mnie nie poznała?... To ja jestem przecież Andzia...

## Z listów Hermogenesa Klapy.

Najmilsi!

Chwalą się niektóre pisma krakowskie, że mają w Paryżu swych wysłanników, którzy im stamtąd nadsyłają sprawozdania. Ja się chwalić tem nie potrzebuję. Najlepszy dowód, że tam jestem, jeśli stamtąd nadsyłam listy.

Ale tem się już muszę pochwalić, że urządziłem nad Sekwaną staropolskie święteczne, o którem jeśli cała Europa nie mówi, to jedynie z tego powodu, że jej zazdrość, że to urządził Klapa, a nie ona! Sprosiłem na nie cały Paryż, polityczny i niepolityczny, a wszyscy stawili się jak jeden mąż, gdyż bab nie było wcale, jako z polityką nic wspólnego nie mających.

Byli więc między innymi: Wilson, Poincaré, Lloyd George, stary tygrys Clemenceau, Pichon, Foch, Paderewski i wieln, bardzo wielu innych, neutralnych i nieneutralnych. Żałuję bardzo, że nie mógł przybyć i lord Kitchener, ale trudno tego od niego wymagać, skoro utonął przed trzema laty. A szkoda go, jego bowiem jedynie przepowiednia spełniła się co do joty. W roku 1914 zapowiedział, że wojna skończy się w roku 1918 i oficyonalnie tak się też stało. Jak wobec niego wygląda cesarz Wilhelm, który twierdził w tym samym czasie, że, zanim liście z drzew opadną, Niemcy będą już w domu!

Gości przyjmowałem, jak zwyczaj każe, z widelcem w ręku, ale bez jajek.

— Panowie darują — mówiłem — ale jaja tak poszły w górę. Jedno dla wszystkich nie wystarczy, a na więcej mnie nie stać!

Wielki stół nakryty był mapą Europy, na nim próżne flaszki i puste półmiski i talerze.

Gdy już wszyscy byli w komplecie, zabrałem głos:

— Panowie!... Starodawnym polskim zwyczajem, przekazanym nam tradycyą z dziada i pradziada, chciałem was dzisiaj po staropolsku ugościć. Ale, wierzcie mi, tak zeszliśmy już na dziady, że ograniczyć się muszę tylko na dobrych chęciach, które wy chciejcie łaskawie przyjąć za czyn. Ale siadajcie, bo was nogi będą boleć...

Siedli, a ja mówiłem dalej:

— Czy wiecie, co mają oznaczać te próżne flaszki i puste talerze?... Nie wiecie, ale ja wam powiem... W tej flaszce, która stoi akurat naprzeciw Lloyda George'a, miała być prawdziwa złotówka gdańska. Bylibyśmy sobie łyknęli po kieliszeczku po jajku, bo to zdrowo! Ten okrągły półmisek był przeznaczony na szynkę i kiełbasę z prosiaczka, wykarmionego przez moją własną żonę. Niestety, dzięki błogosławionej i obfitej w skutki działalności naszych central, w szczególności zaś obrotu bydłem i paszą, najpierw prosiaczka nie można było dostać, a potem, czem go karmić? Za wojennych czasów, gdy rekwirowali Austryacy i kradli Niemcy było źle, teraz jest jeszcze gorzej!... Na tym długim talerzu miał leżeć półgąsek pomorski, ale skąd go wziąć, gdy Pomorze nie nasze?... Te dwa talerze były przeznaczone, jeden na ser cieszyński, drugi na serki owcze orawskie i spiskie, ale i to mi się nie udało. Mógłbym się był postarać, co najwyżej o słoninę amerykańską i smalec, ale się spóźniłem. Tymczasem żydzi zasiedli na święta, a tylko u nich w pasku można się w te artykuły bez protekcyi zaopatrzyć. Słyszeliście może o naszem słynnem wielkanocnem pieczywie, o tych babach, jajecznikach, serowcach, przekładańcach, mazurkach i t. d. Jeśli słyszeliście, to dobrze, gdyż musicie się obejść smakiem, albowiem zapowiedziana mąka nie nadeszła, brak także cukru, a nawet sacharyny, odkąd bracia Czesi rozsiedli się w Boguminie i rządzą się tam, jak szara gęś!... Zupełnie taksamo ma się rzecz i z trunkowością.. Wina Polska nie produkuje, wyrób miodu w wojennym czasie prawie ustał, chciałem was wobec tego uraczyć bodaj piwem!... Te flaszki były przeznaczone na akcyjne piwo lwowskie, gdyż trudno chyba poić takich, jak wy, demokratów, piwem arcyksiążęcem z Żywca, albo barona Götza z Okocima. Stało się jednak nieszczęście! Ostatnią beczkę piwa lwowskiego, jaka była jeszcze do dyspozycyi, rozbił ukraiński granat. Mógłbym wam służyć, co najwyżej bigosem z obietnic, jakich nam nie żałujecie, ale nie chciałbym narażać na szwank wasze zdrowia! Na to wasze żołądki są za słabe!...

Odsapnąłem chwilę, potem ciągnąłem dalej:

— Chęci miałem jak najlepsze, że się stało inaczej, i że się tylko na chęciach musiało skończyć, nie moja w tem wina. Ale, mimo to, przyjmuję was z gorącem sercem i powiadam: „Czem chata bogata, tem rada!" Ja gości bardzo lubię, nawet egzekutora podatkowego widzę chętnie pod mym dachem i właśnie dlatego nigdy mu nic nie płacę, aby mnie tem częściej odwiedzał!

Przemowa moja zrobiła swoje.

Wilson pociągnął znacząco nosem, co jest u niego znakiem rozczulenia, marszałek Foch, wstydząc się widocznie swej słabości, udawał, że go nos swędzi, ale widziałem wyraźnie, jak łzę rozgniótł kułakiem...

Stary tygrys, Clemenceau rzekł, zwracając się do Pichona:

— Nie ma kolega przypadkiem chustki, gdyż swoją zostawiłem w kieszeni szlafroka?

Jeden jedyny Lloyd George był zimny i patrzył obojętnie na próżną flaszkę, przeznaczoną na gdańską złotówkę, ale można mu było wyczytać z oczu, że łyknąłby chętnie, gdyby w niej co było. I kto wie, czy w tej chwili nie pożałował swego wystąpienia w sprawie Gdańska!

Aby poprawić nastrój i oczyścić nieco zgęszczoną atmosferę zwróciłem się do mistrza Paderewskiego ze słowami:

— Panie prezydencie! A gdyby pan tak coś zagrał...

— Bardzo chętnie!

— Ach!... Jak byłoby to pięknie, gdyby oni tak zechcieli zatańczyć w takt twej muzyki!... Ale na czem tu zagrać, gdyż ja nie posiadam nie tylko fortepianu, ale nawet i aristonu...

— To się obejdzie!

— Ha, trudno! Skoro inaczej być nie może, niech tak będzie!... A może zapalicie panowie cygarko lub papierosika? Bardzo proszę! Ale każdy swego!... Mamy wprawdzie w Krakowie fabrykę cygar, która potrafi je robić nawet z liści bukowych, ale tak się jakoś zawsze składa, że zapasy rozkradną jeszcze z magazynów, nim się dostaną w obieg handlowy. Ale może to i lepiej, gdyż dziś tak trudno o zapałki...

Porozmawialiśmy jeszcze o tem i o owem, naturalnie z zakresu polityki, poczem goście, wzmocnieni nie tyle na ciele ile na duchu, zaczęli się rozchodzić.

Na pożegnanie, ściskając kordyalnie mą prawicę, rzekł do mnie Wilson:

— *My dear* Klapa!... Jakoś to be...

— Oj, że be, to prawda!... I to strasznie be! — ja mu na to.

— Nie rozumiesz mnie, mój drogi! Ja chciałem powiedzieć: Jakoś to będzie!... Mimo przeciwności, nie upadaj nigdy na duchu, jak cię uczy twój fizyk!

— Przepraszam... Nie fizyk!... Minister!

— Tem bardziej! Cieszyn, jeśli nie będzie czeski, będzie neutralny albo wasz!... Także i Gdańsk!... Chyba, gdyby ten..

To rzekłszy, łypnął okiem w stronę Lloyda George'a, który stale, jak sroka w kość, patrzył na próżną flaszkę z gdańskiej złotówki...

I to kazało mi być dobrej myśli i nie tracić nadziei!... Jeżeli Gdańsk dostanie się nam, to czyja w takim razie w tem zasługa?... Chyba nikt nie zaprzeczy, że moja!

Sądzę, że jesteście dumni z takiego zastępcy nad Sekwaną i w tej myśli ściskam Was i całuję, lub naodwrót, Wy mi to zróbcie!

Wasz *Klapa*.

### Nie zrozumiał.

Na korytarzu lwowskiego namiestnictwa gapi się, niczem cielę na nowe wrota, jakiś podrzędny funkcyonaryusz z prowincyi, który przybył do Lwowa na audyencyę do ekscellencyi, ale nie wie gdzie się ruszyć i do kogo zwrócić.

Właśnie przechodził korytarzem namiestnik Badeni, a widząc owego „prowincyała" i chcąc go ośmielić, zadaje mu pytanie:

— Panie kochany!... A nie widział tu pan gdzie starosty Morskiego?

Zagadnięty stanął, niczem słup soli, zbaraniał jeszcze bardziej, wreszcie wykrztusił ze siebie z trudnością:

— O lwie morskim i psie morskim już słyszałem, świnkę morską widziałem nawet u nas w miasteczku, ale nie wiedziałem dotąd, że może być i starosta morski...

## Domownicy.

**Mamka ma przy piersi dziecko**
**(Dziecko niby mego tata),**
**Bona zwykle ma w tem miejscu**
**Najstarszego mego brata.**

**Czy to nie wstyd dla dryblasa**
**Tak dziecinne mieć zwyczaje?**
**Bona mu nie daje piersi,**
**Zresztą nie wiem, co mu daje!**

**Mamka szczeka, że w jej łóżku**
**Pcheł i pluskiew jest gromada,**
**Bona łże, że spać jej twardo,**
**A to samo brat powiada!**

**Jedna drugiej więc zazdrości,**
**Choć nie mają racyi w niczem,**
**Bona — łóżka wraz z pierzyną,**
**Mamka — sofy wraz z paniczem.**

**Aż pobiły się dwie szelmy,**
**Każda wściekła i zuchwała:**
**Bona wałkiem od kanapy,**
**Mamka bonę — dzieckiem prała.**

**Zapomniały w bitce o tem,**
**Że to rzeczy nie ich własne,**
**A ja tylko rwałem boki,**
**Myśląc, że już z śmiechu trzasnę!**

**Wałek z sofy — oczywiście**
**Najzupełniej jest zniszczony,**
**Dziecku nic się nie zrobiło,**
**Zato spuchła gęba bony.**

**Ja już prędzej to rozumiem,**
**Gdy się biją w karczmie chłopy,**
**Lecz nie panny z wychowaniem!!...**
**— U nas zawsze takie szopy!...**

**Pół godziny trwało — zanim**
**Rozbrojono tą hołotę!...**
**Dobrze, że choć bąk ocalał!...**
**(Miałby tatko znów robotę!!...)**

### Dysputa filologów.

— A jak kolega myśli?... Powinno się mówić: trzy razy trzy jest sześć, czy też: trzy razy trzy są sześć?

— Ja byłbym zdania, że się powinno mówić „trzy razy trzy jest dziewięć..."

— Wie kolega, że kolega ma racyę!... A możebyśmy tak palnęli na ten temat do spółki jaką rozprawę?...

### Delikatny.

— A co pan powie, panie Kohn?... Pewnie pan się przyszedł upominać o pieniądze?

— Niech mnie Pan Bóg broni!... Ja nie jestem taki, jak inne, z przeproszeniem pańskiej osoby, krakowskie żydki!... Ja sobi tylko tak przychodżyłem, aby si spytać, jak si chowa ten mały Franuś, co to sypia na te kanape, za które mi pan dobrodżyj winien już od trzech roków!...





Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeyskiego.



*Modelka:* **Co ten obraz będzie przedstawiał?**
*Malarz:* **Alegoryczny upadek Austryi!**
*Modelka:* **A więc muszę się rozebrać?**
*Malarz:* **Tak! Upadek jest zawsze przez rozbiór poprzedzony!**